M. FARNEY

WŚRÓD STEPÓW I PUSTYŃ MONGOLJI



Polski Związek Łowiecki
BIBLIOTEKA
Nr. ...
KSIĘGOZBIÓR MYŚLIWSKI Józefa W. Kobylańskiego

WŚRÓD STEPÓW I PUSTYŃ MONGOLJI

Polski Związek Łowiecki
BIBLIOTEKA
Nr 2070 2098.

M. FARNEY

WŚRÓD STEPÓW I PUSTYŃ MONGOLJI

KSIĘGOZBIÓR MYŚLIWSKI Józefa Wł. Kobylańskiego

PRZEKŁAD AUTORYZOWANY W. M.

WINIETA OKŁADKOWA BOLESŁAWA KARPIŃSKIEGO

CZYTELNIA „ŚWIT" Górnośląska 16 m. 38 Nr 1482
Polski Związek Łowiecki BIBLIOTEKA Nr.
KSW
Polski Związek Łowiecki BIBLIOTEKA Nr.

NAKŁAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ — WARSZAWA — WILNO — LUBLIN



Książeczka niniejsza stanowi nr. 343 znanego wydawnictwa firmy ***Larousse w Paryżu*** *p. t.* ***„Les livres roses“.***

KLISZE WYKONANO WE WŁASNYCH ZAKŁADACH.
CZCIONKAMI DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA W POZNANIU.

I.

Projekt podróży.

— A więc, panie Derennes, zamierza pan wyjechać z Mamajczyna i puścić się przez Mongolję do Pekinu?

— Tak panie Harrison, najzupełniej jestem na to zdecydowany.

— Ale czy pańska żona i dzieci będą mogły znieść tak uciążliwą podróż 1200 kilometrów przez kraj bez żadnych dróg komunikacyjnych, gdzie rzadko tylko rozrzucone są osiedla mongolskie?

— Zastanawiałem się nad tem długo, radziłem się wielu kompetentnych Chińczyków i kupców rosyjskich, którzy kilkakrotnie odbyli tę drogę, nie jest ona tak bardzo uciążliwa. Aby móc spokojnie zapuścić się w pustynię Gobi, trzeba tylko zaopatrzyć się w żywność i przygotować odpowiednie środki lokomocji.

— No tak, dla ludzi dorosłych, ale dla dzieci...

— Żona moja i dzieci przywykły do życia pełnego trudów i przygód. Ileż długich podróży odbyliśmy, jadąc z Francji w głąb Sybiru. Jakąkolwiek byłaby ta droga przez stepy mongolskie, nie może się ona równać z tem, cośmy przeszli i przecierpieli podczas ucieczki z Irkucka.

— Pod tym względem niema dwóch zdań.

— Dłuższy pobyt w Mamajczynie, w tej brudnej i cuchnącej mieścinie chińskiej, byłby nieznośny. Raczej narazić się na niebezpieczeństwo, byle tylko powrócić do Francji, my zresztą nie mamy innej drogi do wyboru jak przez Pekin i Tien-tsin.

— Oczywiście, że o powrocie do Rosji niema mowy, oczekiwałoby nas tam więzienie bolszewickie... — I śmierć niechybna!

— A zatem, panie Derennes, skoro pan jest zdecydowany wyruszyć do Pekinu przez płaskowzgórza mongolskie i przez miasto Urga, w takim razie jadę z wami, o ile towarzystwo moje nie będzie wam przykre.

— Ależ, drogi panie Harrison, towarzystwo pana zawsze mi było miłe, ale teraz będzie miłe i nadzwyczaj pożyteczne. Wszak pan zna ten kraj doskonale i biegle pan mówi po chińsku i mongolsku.

— W rzeczy samej kilka razy udawałem się do Pekinu karawaną. Chciałem poznać bliżej obyczaje rasy mongolskiej, polubiłem jej zalety charakteru. Powrót do Europy właśnie tą drogą i w gronie przyjaciół, których cenię i dla których żywię szczerą sympatję, będzie dla mnie niezmiernie miły.

— Nie wątpi pan chyba, że sympatja ta jest wzajemna. Idę podzielić się z żoną dobrą nowiną.

P. Derennes był jednym z wielkich kupców jedwabiu z Lugdunu. Przed kilku laty przeniósł się on do Irkucka, aby nawiązać z Chinami szerokie stosunki handlowe. Zaskoczony przez

rewolucję rosyjską zdołał przedostać się do Chin i uniknąć srogich prześladowań, godzących w życie każdego cudzoziemca.

Osiadł w Mamajczynie nieopodal Kiachty, ostatniej placówki rosyjskiej. Nędzna ta mieścina chińska jest położona na krańcach Mongolji, której niezmierzone przestrzenie, będące pod zwierzchnictwem Chin, rozciągają się w samem sercu Azji, pomiędzy Tybetem, Syberją, Mandżurją i Turkiestanem. Pan Derennes przebywał tu stale od kilku miesięcy z żoną i dwojgiem dzieci, dwunastoletnim Ludwikiem i dziesięcioletnią Zuzanną. Poznał tu Anglika Harrisona, któremu również udało się wymknąć z bolszewickich szponów. Młody uczony podróżował tak w celach naukowych jak i dla powiększenia swych cennych zbiorów broni i starej porcelany, które były jedną z osobliwości Londynu. Ten uroczy, szczery, odważny i wielkiego serca człowiek zaprzyjaźnił się z rodziną francuską, którą los rzucił na jego drogę. Dzieci zwłaszcza przepadały za nim, uczył ich po angielsku i dzielił się z niemi swemi pożytecznemi i praktycznemi wiadomościami.

II.

Przygotowania do podróży.

Pani Derennes i dzieci, uszczęśliwione projektem wyjazdu z Mamajczyna i powrotu do Francji, nie obawiały się uciążliwej i niebezpiecznej drogi przez pustynię. Woddali majaczył przez nimi obraz miłej ojczyzny oraz kres cierpień doznanych w tych odległych stronach. Ludwiś i Zuzia

cieszyli się ogromnie na tę podróż przez nieznany kraj pełną nieoczekiwanych przygód.

— Czy do Pekinu jedzie się koleją? — pytał się Ludwiś.

— Niema tu nietylko kolei żelaznych, mój chłopcze, ale nawet dróg bitych.

— W takim razie pojedziemy na wielbłądach. cóż to będzie za rozkoszna jazda! — zawołała Zuzia.

— Wolałbym konno — dodał Ludwiś — tak lubię te mongolskie koniki, rącze, łagodne i posłuszne.

— Zobaczymy, jak to będzie, dzieci kochane, p. Harrison organizuje wyprawę, zna się na tem doskonale, pójdziemy więc za jego radą.

Nazajutrz młody Anglik zdał sprawozdanie ze swych zabiegów i przygotowań do podróży.

— Wszystko idzie jak z płatka — mówił. — Przedewszystkiem udało mi się znaleźć pewnego i gorąco poleconego przewodnika. Jest to Mongoł, imieniem Baturu (dzielny), który nieraz już z Kiachty udawał się do Pekinu i zna drogę dokładnie. Najałem również kucharza, który pragnie dostać się do Pekinu. Nazywa się Pao, służył już niegdyś u mnie, uczciwy to człowiek i tak jak prawie każdy Chińczyk, kucharz zawodowy. Wielki przytem bywalec, zna świat i ludzi, nie zachodzi przeto obawa, że uraczy nas baraniemi oczami z czosnkiem lub pieczenią z psich uszu lub innemi przysmakami krajowemi. Zresztą zadanie jego będzie polegało głównie na rozniecaniu ognia i przyprawianiu upolowanej przez nas zwierzyny.

Zakupiłem również ryżu, sucharów, masła solonego coraz konserw z mięsa i warzyw.

— Ale w jaki sposób zabierzemy to wszystko? — pytała pani Derennes.

— Nabyłem trzy wielbłądy, które będą objuczone bagażem. W drodze będziemy spotykali Mongołów koczujących z niezliczonemi stadami, ci chętnie dostarczą nam baraniny, mleka i sera.

— A woda? — niepokoiła się Francuzka.

— Wyruszamy w dobrej porze roku: w maju studnie na nawiedzanej przez karawany drodze, obficie są zaopatrzone w wodę, zrobimy większy zapas.

— Nieoceniony jest ten Harrison — zawołał kupiec — wszystko przewidział zgóry!

— O! to niewszystko jeszcze. Największe zadanie — to przebycie pustyni Gobi w możliwie najlepszych warunkach. Otóż mamy trzy rodzaje lokomocji do wyboru.

— Wielbłądy przedewszystkiem! — zawołała Zuzia.

— Wielbłądy, miła panieneczko, to jedna z trzech, ale tylko w braku lepszej można z niej korzystać. Jazda na nich jest przykra i męcząca i dlatego nadają się one raczej do dźwigania ciężarów. Dla nas Europejczyków odpowiedniejsze będą konie i wózki chińskie. Kupiłem dwa takie wózki dla pani Derennes i dla was, my zaś pojedziemy konno.

— Ja także chciałbym jechać konno — odezwał się Ludwiś. Ulan, nasz służący Mongoł, udzielił mi już kilku lekcyj, a teraz mógłbym nabrać wprawy.

— Wiem, — odrzekł p. Derennes — że zrobiłeś pewne postępy i sądzę, że będziesz miał pole do popisu.

— Skoro, dzięki panu Harrisowi wszystko jest gotowe, to wkrótce moglibyśmy wyruszyć.

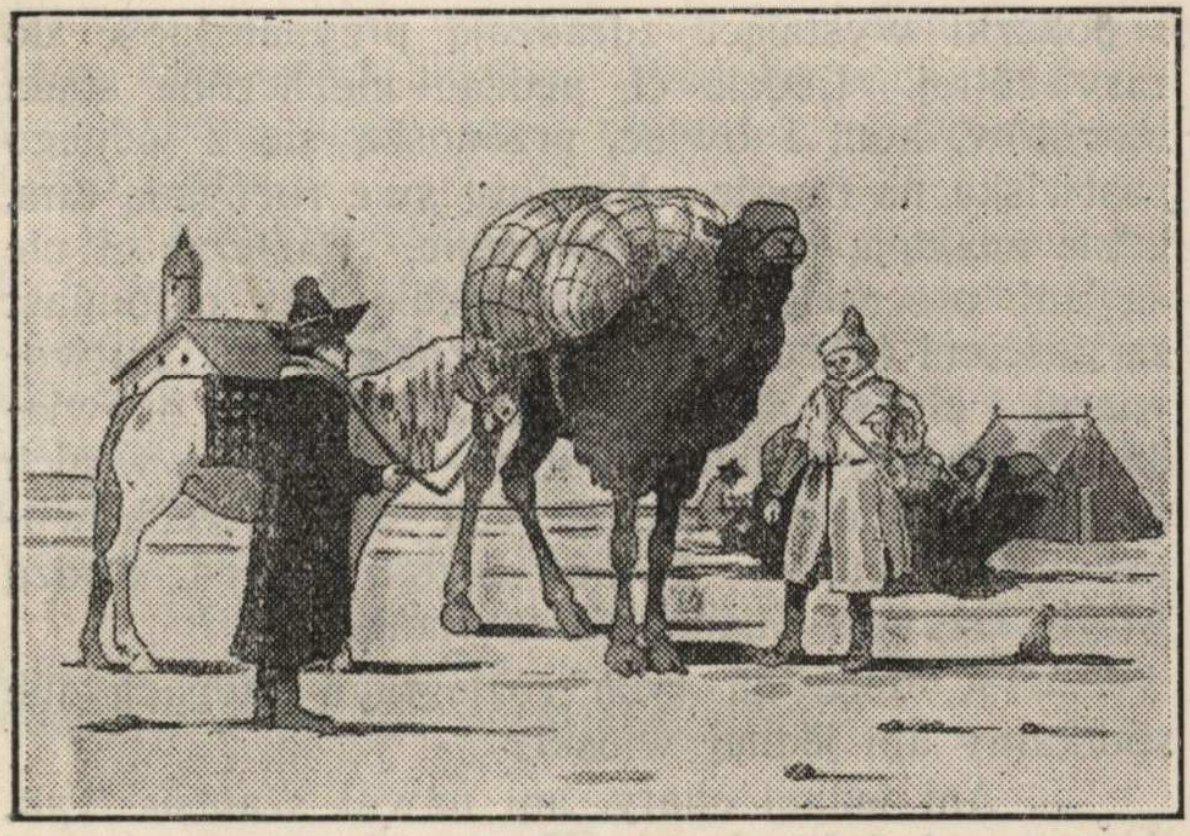
— Jutro rano konie, wielbłądy i wozy będą do pani dyspozycji.

W rzeczy samej nazajutrz o wschodzie słońca istna karawana oczekiwała przed zajazdem chińskim, w którym mieszkali pp. Derennes.

Mongoł Ulan, wierny i oddany, a przytem mówiący płynnie po rosyjsku, jako inteligentny, energiczny i czynny człowiek objął dowództwo wyprawy. Chodził, biegał, wydawał rozkazy, naznaczał każdemu odpowiednie miejsce. Trzy wspaniałe wielbłądy z pustyni Gobi żuły łagodnie podczas ładowania bagażu. Natomiast ładne ogniste koniki mongolskie rwały lub niecierpliwie grzebały nóżką.

Mongołowie z eskorty odziani byli w długie, spływające po pięty kaftany, których luźne poły można było dowolnie podkasać i podpiąć agrafkami. Kaftany były zapinane na guziki. Na kaftany nakładali rodzaj serdaków podbitych lisiurą i mocno ściągniętych w pasie szerokim rzemieniem, do którego przytroczone były: hubka, krzesiwo, fajka i nóż. Szanujący się Mongoł nie rozstaje się nigdy z temi przedmiotami.

Jeźdźcy ci obuci byli w wysokie buty z zadartemi do góry nosami. Na głowie zaś mieli wysokie kołpaki lisie o szerokich wycinanych brzegach.



Ulan chodził, biegał, wydawał rozkazy....

Wózki były lekkie, małe i dwukołowe. Nieprzemakalna półokrągła buda pokrywała wózek, od przodu miała otwór zaopatrzony w zasłonę skórzaną, którą można było zapuszczać. W ten sposób podróżni tak jak w wagonie ochronieni byli przed deszczem i kurzem.

W ostatniej chwili kulisi chińscy przynieśli jakiś duży starannie owinięty przedmiot.

— To nasz namiot — oznajmił Harrison.

— Namiot! — zdziwiła się pani Derennes. — Czyż będziemy mieszkali pod namiotem?

— Ależ tak, łaskawa pani, tak jak Kirgizi, Tybetańczycy, Chałchasi i Kałmucy, jak wszystkie te koczownicze plemiona, których skośne oczy

i policzki wystające zdradzają przynależność do rasy żółtej. Ludzie ci, pędząc niezliczone stada bawołów, koni i owiec, przenoszą się z jednego pastwiska na drugie. Namioty swe rozpinają tam, gdzie znajdują obfite pożywienie. Pasterze ci nie są ani pracowici ani przedsiębiorczy, natomiast są gościnni i życzliwi dla cudzoziemców. Łatwowierni i chciwi nowinek chętnie słuchają opowiadań przybyszy z dalekich stron. Któżby się w nich mógł domyślić potomków tych straszliwych wojowników, którzy świat pustoszyli pod wodzą Attyli, Dżyngis-Chana i Tamerlana.

— A więc na tych rozległych stepach nie spotkamy ani jednej wioski?

— Ani jednej chaty, ani nawet szałasu. Tak, droga pani, jeśli się nie chce pod gołem niebem lub w jednym z tych wózków nocować, trzeba zaopatrzyć się w namiot. Ten zresztą jest bardzo wygodny i kto wie czy zczasem nie opuści go pani z żalem.

Rzeczywiście był to namiot najwspanialszy, jaki tylko znaleźć można było w Mamajczynie. Średnica jego wynosiła pięć metrów, a wysokość trzy metry, można było poruszać się w nim swobodnie. Rozpięty na lekkich palikach drewnianych miał kształt parasola i mocno kołkami przytwierdzony był do ziemi. Niskie wejście zawieszone było dywanem. U góry znajdował się okrągły otwór, przez który wchodziło powietrze lub wymykał się dym. Otwór ten można było zasłonić firanką.

Na rozkaz Anglika Mongołowie z wielką wprawą rozpięli namiot. W jednej chwili przed

domem miejskim wzniosło się to jedyne na pustyni schronisko ludzkie. Pani Derennes i dzieci zachwycone były jego objętością i wygodnem urządzeniem.

— Namioty takie będziemy widywali w rozległych stepach mongolskich, ale ten namiot jest chana czyli wodza hordy tatarskiej. Urządzić go możemy według swego upodobania i wymagania. Zasłona, zaciągana na noc, dzieli go na dwie połowy: męską i niewieścią. Rozciągnięte na ziemi wojłoki chronią od wilgoci.

— Będzie nam tu doskonale — zawyrokowała pani Derennes. — Na pewno nie będę żałowała mieszkania swego w Mamajczynie.

III.

W drodze do Urgi.

Wszystko było gotowe do drogi. Karawana opuszczała miasto o świcie, odprowadzona pomimo wczesnej pory przez mandarynów i Europejczyków, z którymi podróżni nasi zbliżyli się w tem mieście chińskiem, a którzy mniej od nich szczęśliwi, zmuszeni tu pozostać, żegnali ich z żalem.

Karawana posuwała się w kierunku południowym w następującym porządku: na czele jej Baturu przewodnik jechał na wielbłądzie; przy nim spoczywał namiot. Za nim szły dwa juczne wielbłądy prowadzone przez Mongołów w malowniczych strojach. Na jednym ulokował się kucharz Pao. Ulan galopował na rączym koniku, a obok niego Ludwiś, także konno pod jego opieką i nadzorem. Nieco dalej toczyły się dwa wózki, każdy

w parę koni zaprzężony, na których naoklep siedzieli najdziwniejsi w świecie forysie, bo Mongołowie uzbrojeni w nahajki.

W pierwszym wózku pani Derennes i Zuzanna zajęły miejsce; w drugim złożono cenniejsze kuferki i walizki. Wreszcie obydwaj panowie, jeźdźcy wytrawni, zamykali pochód, gotowi zawsze pośpieszyć tam, gdzie obecność ich była pożądaną.

— Czy zapuścimy się zaraz w pustynię Gobi? — zapytał Ludwiś towarzysza swego Ulana.

— Nie, paniczu, pustynia zaczyna się za Urgą. Aż do tego miasta będziemy jechali przez kraj gór i dolin, przerzynany potokami. Za tydzień dotrzemy do naszego świętego miasta.

Po kilku godzinach marszu karawana zeszła w piękną i żyzną dolinę rzeki Selengi, która wpada do jeziora Bajkalskiego na Syberji. Następnie zapuściła się w głęboki wąwóz, położony między dwiema wysokiemi górami, wreszcie rozłożyła się na popas nad niewielką rzeczką Iro, obok mongolskiego a u ł u, czyli obozowiska złożonego z kilkunastu namiotów. Namiot mongolski, zwany j u r t ą, nie różnił się od wyżej opisanego. Ogromne kundle, szczerząc kły groźnie, strzegły doń dostępu. Wywabiony ujadaniem Mongoł, rozpędził psy batem i okładając je suto razami, zmusił do milczenia i wprowadził cudzoziemców do namiotu.

Ścisk i zaduch panował tu nieopisany. W głębi siedział stary Chałhas, widocznie patrjarcha rodu. Panowie nasi wołając: m e n d u, m e n d u! zajęli miejsce po prawicy starca, podczas gdy pani Derennes z dziećmi pozostała wśród niewiast. Starzec wysypał naprzód trochę proszku z jaspi-



W głębi namiotu siedział patrjarcha rodu.

sowego flakonu i podał szczyptę gościom, a następnie zapytał:

— Z jakiejże to sławetnej krainy pochodzicie?

— Urodziliśmy się daleko od Mongolji, aż za morzami zachodniemi.

— A h y a! Zauważyłem, że jesteście obcokrajowcami. Mongołowie nie mają tak majestatycznego wyglądu; nie jesteście również Orosami? (Rosjanami.)

— Nie! ojczyzna nasza dalej leży jeszcze niż kraj Orosów.

— Jakież powody sprowadzają was w ubogie nasze strony?

— Pragnienie poznania szlachetnego narodu mongolskiego.

— Ah ya! Ah ya! Ludzie Zachodu pełni są cnót i wszelakiej mądrości.

Dobrotliwy starzec rozkazał podać herbatę. Rozkaz ten wykonany został natychmiast, gdyż przygotowana w tym celu woda kipiała w miedzianym kotle, ustawionym na trójnogu brzozowym na środku izby. Ale zaduch był tu tak przykry, że podróżni opuścili niebawem namiot, powtarzając: mendu, mendu. Wyraz ten gości ustawicznie na ustach mongołów, którzy wymawiają go na znak podziękowania, powitania i pożegnania.

Obiad przyrządzony przez Chińczyka Pao okazał się wyśmienity. Mongołowie rozłożyli się dookoła ogniska i gwarząc popijali herbatę, następnie zaś na żarzących się węglach upiekli pojmanego zająca i rozdzierając go palcami, jedli żarłocznie. Po wygodnie pod namiotem spędzonej nocy karawana przy pierwszym brzasku dnia ruszyła w dalszą drogę.

Spuszczając się z południowych stoków gór Bakka—Ula, podróżni ujrzeli dwa olbrzymie pionowo stojące głazy, na których wyryty był obraz Buddy. Do stóp pomnika wiodły stopnie wykute w skale, a dookoła powiewały flagi i wstęgi pokryte budyjskiemi tekstami; były to ofiary składane przez pielgrzymów.

— Co oznacza ten pomnik? — zapytał Ludwiś p. Harrisona.

— Jest to obo, czyli ołtarz pod gołem niebem wzniesiony i poświęcony przez lamów. Widzisz, z jaką czcią zbliżają się doń Mongołowie.

W rzeczy samej padli oni na twarz przed głazami a potem jęli śpiewać jakby litanję, rytmi-

czną, monotonną i pełną skargi. Niektórzy obracali beczkę zawieszoną na słupie i tybytańskiemi napisami pokrytą.

— Co to za dziwna gra — zauważyła Zusia. — Oni nawet przy zabawie mają takie, poważne i skupione miny.

— Ależ oni się nie bawią! — odparł p. Harrison. — Oni się modlą.

— Jakto, kręcąc tą beczką?

— Tak, beczka ta pokryta jest nabożnemi tekstami, raz puszczona w ruch obraca się długo, a oni natenczas mogą jeść, pić i spać — beczka modli się za nich.

— Modlitwa taka nie może być chyba wysłuchana.

— Czasem beczki te poruszane są zapomocą wodospadu tak jak młyny wodne. Wtedy zadanie nabożnego Mongoła jest jeszcze łatwiejsze. Będziecie nieraz widzieli Mongołów, którzy nie odrywają się od swych zajęć obracają ustawicznie młynek z modlitwami trzymając go w prawej ręce. Im prędzej obraca się młynek, tem żarliwsza jest modlitwa.

IV.

Urga, miasto święte.

Po sześciu dniach podróży karawana dotarła szczęśliwie do Urgi, rezydencji Gizy-Tamby, najwyższego zwierzchnika duchownego i króla Chałchasów.

Urga położona jest nad piękną i wartką rzeką Tulą, dopływem Selengi. P. Harrison wstrzymał

Polski Związek Łowiecki
BIBLIOTEKA
2098/

wierzchowca na skraju doliny i szerokim ruchem ręki wskazał roztaczający się krajobraz.

— Porzucamy — rzekł — te górzyste okolice i na południe od Urgi zapuścimy się w bezmierną pustynię Gobi. Te wzgórza zielone i świeże są już ostatnie na naszej drodze. Dopiero na północ od Pekinu ujrzymy znowu góry.

— Co za cudowny widok! — zawołała pani Derennes. — Istotnie godny to przybytek żywego Buddy!

— Spójrzcie na zielony kobierzec tych łąk bezmiernych, ginący aż gdzieś za widnokręgiem. Spójrzcie na te stada kóz, wołów i owiec rozrzuconych po tych pastwiskach bujnych, na ten tabun koni harcujących wśród traw wysokich; na ten tłum żywych i barwnych jeźdźców, kobiet i dzieci i na woddali widniejące miasto mongolskie: kopuły, dzwonnice, złociste pagody!

— Ale — zauważył p. Derennes — miasto po za świątyniami wydaje się jakby złożone z samych namiotów.

— Tak, Urga jest to olbrzymie obozowisko, takie samo jak za czasów Attyli i Dżyngis-Chana, którzy na czele hord tatarskich wyruszyli na podbój świata.

— A cóż to za ogromne woły z zakrzywionemi rogami? — dopytywał się Ludwiś.

— To jaki — odrzekł Anglik. — Dla mieszkańców pustyni nieocenione to zwierzęta. Niezbyt wysokie są, ale bardzo silne i mogą przenosić najcięższe nawet ciężary. Długi włos chroni je od zimna. Mongołowie dosiadają je tak jak koni lub wielbłądów.

— Takie mają dzikie oczy. Boję się ich! — szepnęła Zuzia.

— A jednak są one potulne i łagodne, oswajają się łatwo, a nawet przywiązują się do ludzi, którzy się z niemi dobrze obchodzą.

Karawana wjechała w sam środek stada jaków, które pomimo srogiego wyglądu posłuszne były pilnującym je dzieciakom.

Podróżni, nie chcąc popasać w jednym z tych chińskich zajazdów, gdzie roiło się od wielbłądów, koni, jaków i od wrzaskliwego cuchnącego tłumu, rozbili namiot pod miastem, na łące, gdzie wierzchowce ich miały wbród pożywienia.

Wypocząwszy nieco, wybrali się na zwiedzenie miasta. P. Harrison i tym razem okazał się świetnym przewodnikiem, znał wszystkie zaułki i orjentował się doskonale w tych wąskich, krętych i stromych uliczkach, wzdłuż których rozpościerały się namioty otoczone wysokim ostrokołem. W dzielnicy chińskiej i rosyjskiej, gdzieniegdzie wznosił się barak drewniany, ale miasto całe robiło wrażenie wielkiego koczowiska, które w jednej chwili mogło być zwinięte. Po mieście snuli się Chińczycy, Mandżurowie, a zwłaszcza Mongołowie w malowniczych strojach.

— Łatwo poznać Mongołów — objaśniał Harrison — po ogorzałych kościstych twarzach o wystających policzkach, płaskich nosach i skośnych, czarnych, błyszczących oczkach. Uczciwi, łagodni, łatwowierni i szczerzy stają się oni zwykle pastwą przebiegłych i chytrych Chińczyków.

W Urdze znajduje się koło trzydziestu tysięcy lamów, właścicieli bogatych, rozległych klasztorów

V.

W pustyni.

Po dwudniowym wypoczynku i dokładnem zwiedzeniu miasta podróżni rozpoczęli na nowo swą długą wędrówkę.

— Teraz zaczyna się dla nas życie prawdziwie koczownicze wśród tych stepów nieskończonych, gdzie zrzadka tylko spotkać można człowieka — rzekł p. Harrison.

Kilka mil za Urgą krajobraz zmienił się całkowicie: zniknęły góry, lasy i rzeki szerokie. Czasem tylko oko wędrowca dostrzec może staw lub studnię wykopaną przez karawany. Nie brak jednak i tu pastwisk, które jak zielone oazy wynurzają się z tego morza piasku. Po tem pustkowiu włóczą się wilki i lisy, a czasem zając przebiegnie drogę. Nierzadko można również spotkać stadko jeleni, kóz, antylop lub zwierząt domowych, żyjących tu w stanie dzikim.

Po całodziennym pochodzie karawana, nie ujrzawszy ani jednej ludzkiej twarzy, rozbiła namiot na zielonem pastwisku koło studni, w której jednak woda była żółta i błotnista. Po lekkim posiłku przygotowanym przez znakomitego Pao, każdy jak mógł układał się do snu, znużony uciążliwą drogą. Konie i wielbłądy przywiązano do namiotu, poczem Mongołowie ułożywszy stos zabranego z Urgi drzewa, rozłożyli się dokoła ogniska. Wszyscy usnęli niebawem, gdy nagle rozległo się wycie złowrogie.

— Co się dzieje? — zawołał p. Derennes, zrywając się na równe nogi.

W jednej chwili wszyscy byli gotowi. Mongołowie spędzali wielbłądy i konie bliżej namiotu i szykowali broń.

— To wilki — tłumaczył Ulan — włóczą się całemi bandami i napadają karawany, chcąc porwać jedno z bydląt.

Harrison i Derennes uzbrojeni w świetne karabiny stali już na posterunku przed namiotem.

— Pozwolić im się zbliżyć. Czekać komendy. — rozkazał krótko Anglik.

Wszyscy padli na kolana i wytężając słuch, przywarli do ziemi. Na ubitym gruncie wyraźnie coś dudniło, to stado wilków biegło szybko. Powtórne wycie oznajmiło podróżnym, że krwiożercze zwierzęta są już blisko namiotu.

— Ognia! — zakomenderował Anglik.

Rozległ się huk karabinów, a potem wycie przewlekłe. Strzały snać były celne.

— Broń trzymać w pogotowiu — rozkazywał Harrison — wilki wznowią atak.

Konie drżały i rzucały się, czując bliską obecność wilków. Dorzucono gałęzi do ognia. Piekielna zgraja podchodziła tym razem powoli. Rozległa się nowa salwa karabinów, zawtórowała jej cała gama rozpaczliwego wycia. Widocznie padły nowe ofiary, bo wycie oddalało się powoli, aż wreszcie umilkło — zapanowała cisza. Spłoszeni rabusie dali za wygraną.

Nazajutrz znaleziono kilka martwych wilków i obfite ślady krwi na piasku, świadczące, że ranne uszły z resztą zgrai.

Po dwugodzinnym marszu karawana przybyła do Homuczy, gdzie wznosił się klasztor la-

mów. Na posępnem tle pustyni miłe dla oka wrażenie przedstawiają pagody i murowane budynki, pokryte całkowicie białym jak marmur gładkim lakiem. Budulec sprowadzany był z Chin i Urgi, gdyż w tem pustkowiu brak kompletny drzewa i kamieni.

Mnisi budyjscy w żółtych szatach i myckach ozdobionych czerwonemi pomponami nader uprzejmie powitali podróżnych.

— Te klasztory — objaśnił p. Harrison — rozsiane są wśród pustyni, aby nieść pomoc wędrowcom, którzy zawsze mogą liczyć na dobre przyjęcie. Młodzi lamowie uczą się świętej mowy tybetańskiej i wtajemniczają się w dogmaty religji budyjskiej. Naogół są mało oświeceni, a w dodatku naiwni jak dzieci. Opowiadał mi pewien misjonarz, który znał dobrze język i obyczaje Mongołów, że zgłosił się tu raz do klasztoru.

— „Chciałbym poznać język tybetański — oznajmił lamom. — Czy bardzo to trudno?

— „Jeśli kto nie rozpoczął nauki za młodu — odparł sędziwy lama — daremne będą późniejsze usiłowania.

— „W każdym razie przynieście mi jaką księgę tybetańską.

Lama udał się do pagody i powrócił niebawem uginając się pod olbrzymim tomem.

— „Odczytaj mi — rozkazał misjonarz — jedną stronę z tej księgi, ale powoli i bardzo wyraźnie.

W miarę czytania cudzoziemiec notował łacińskiemi literami słyszane dźwięki. Lamowi zaciekawieni pytali się, co oznaczają te słowa pi-



— Odczytaj mi jedną stronę z tej księgi....

sane „szarą“ — tak bowiem zowią wszelkie nieznane pismo i język.

— „Dowiecie się za chwilę — odparł.

Przechadzał się po sali, podczas gdy lamowie oglądali nieznane pismo, obracając papier na wszystkie strony. Wreszcie misjonarz odezwał się:

— „Przeczytam wam co tu stoi napisane.

— „O! to zbyteczne — zawołali jednogłośnie — my nie rozumiemy szary.

— „Mniejsza oto, słuchajcie! A ty — zwrócił się do tego, który odczytał przed chwilą ustęp

w języku tybetańskim — patrz w księgę i uważaj, czy zgadza się z nią moja s z a r a.

Podczas gdy mnich francuski czytał, zdziwienie lamów nie znało granic. Wołali z zapałem.

— „Zgadza się wszystko, słowo w słowo.

I gestykulując żywo pytali olśnieni.

— „Jakoż to być może? Czytają mu po tybetańsku a on pisze s z a r ą, a kiedy czyta s z a r ą, my słyszymy tekst tybetański!"

Nie mogli pojąć, że za pomocą alfabetu można pisać wszystkiemi językami.

VI.

Dalsze przygody.

Nazajutrz karawana natrafiła na znaczniejszy obóz mongolski. Gdy Chałchasi ujrzeli zbliżających się Europejczyków i ich orszak, dwóch jeźdźców puściło się ku nim cwałem i osadzili konie przed panem Derennes, jadącym na przedzie obok przewodnika. Jeden z nich, widocznie wódz aułu, bo staranniej od innych odziany, zsunął się ze swego wierzchowca wołając: mendu, mendu! Potem jął coś żywo tłumaczyć, to przykładając ręce do czoła, to wyciągając je błagalnie. P. Derennes nie mogąc zrozumieć o co chodzi, przywołał towarzysza.

— Czego chcesz? — spytał się Anglik.

— Czy jesteście Orosami?

— Nie, ojczyzna nasza znajduje się o wiele dalej niż kraj Orosów.



Na tapczanie leżał ośmioletni chłopiec.

— W każdym razie jesteście dostojnikami przybywającymi z pod nieba zachodniego i umiecie leczyć wszelkie choroby.

— Mylisz się, nie jesteśmy lekarzami.

— Mówiono mi, że ludzie z waszego kraju są mędrcami i posiadają tajemnicę złego i dobrego. Syn mój ciężko zachorzał, jeśli nie poratujecie go, umrze.

Rozpacz biednego Mongoła jak i zaufanie nie miały granic. Harrison wzruszony zwrócił się do przyjaciela.

— Nie możemy mu odmówić, musimy odwiedzić chorego. Gotów pomyśleć, że przez pychę

i wzgardę odrzucamy jego prośbę. A jeśli nie uda się nam uzdrowić syna, to odwiedziny nasze będą dla ojca pociechą.

— Podzielam pańskie zdanie — odparł p. Derennes, zabiorę w każdym razie apteczkę, może nasze leki przyniocą pewną ulgę choremu, o ile ten nie stracił jeszcze przytomności.

Niebawem Francuz powrócił, niosąc cenne pudło z apteczką podręczną. Mongołowie oczekiwali w milczeniu decyzji cudzoziemców.

— Prowadź nas do chorego! — rozkazał Anglik.

Minęli kilka nędznych namiotów, przed któremi kobiety doiły krowy, kozy i owce. Zatrzymali się wreszcie przed okazalszą i czystszą jurtą, własnością wodza, do której tenże skwapliwie ich wprowadził. Na tapczanie leżał ośmioletni chłopiec. Świecące oczy i bladość twarzy jego ujawniały silną gorączkę. Siedzące wkoło niego na puszystym dywanie kobiety zawodziły głośno, mężczyźni stali w ponurem milczeniu.

— Dziecko to — zwrócił się Harrison do towarzysza — ma silną gorączkę, to tylko możemy stwierdzić. Sądzę, że china jest tu jako lekarstwo wskazane.

A dawszy chłopcu odpowiednią dozę chiny do zażycia, nakazał największy spokój.

Odprowadzani przez wdzięcznych Mongołów podróżni opuścili jurtę. Nazajutrz doniesiono im, że chory spędził noc dobrze i czuje się lepiej. P. Harrison odwiedził go raz jeszcze i powtórzył dawkę chiny, która radykalnie przecięła gorączkę.

Mongołowie wierzyli mocno, że dwaj cudzoziemcy byli znakomitymi lekarzami, którzy mogli uleczyć wszelkie ludzkie dolegliwości. Co chwila zgłaszały się kobiety żądając jakiegoś środka na najdziwniejsze, często urojone choroby. Niewątpliwie apteczka rychłoby się wyczerpała, gdyby Harrison nie wpadł na pomysł szczęśliwy: dawał im malutkie kawałeczki cukru, które chorzy prawdziwi i z urojenia chrupali z rozkoszą, śmiejąc się radośnie i dając na migi znaki, że już są uleczeni.

Auł (wieś) ten posiadał niezliczone stada bydła, koni i wielbłądów rozproszonych na rozległem pastwisku. Pilnowali je jeźdźcy, nieruchomi jak posągi ze spiżu, psy ogromne do chartów podobne ze śpiczastemi pyskami i stojącemi uszami, głośnem szczekaniem zapędzały niesforne zwierzęta.

W dowód wdzięczności wódz ofiarował Europejczykom kilka sztuk swych najpiękniejszych baranów, a kobiety kilkakrotnie przynosiły mleko i wyborne sery, przypominające szwajcarskie.

Podróżni, czyniąc zadość prośbom poczciwych Mongołów, spędzili kilka dni w tej miejscowości. Pani Derennes i Zuzanna przyglądały się pracującym kobietom, a Ludwiś harcował konno z małymi Mongołami, którzy od lat najwcześniejszych większą część życia spędzają na koniu. Mongoł od rana dosiada rumaka i rozpoczyna przegląd swych stad, poczem udaje się na pogawędkę i herbatę do sąsiednich aułów. Po powrocie zasiada przed namiotem, paląc fajeczkę, natomiast kobiety wykonywają najuciążliwsze roboty domowe.

Cudzoziemcy witani są zawsze z radością i zasypywani pytaniami. Nikt bowiem nie jest ciekawszy i łatwowierniejszy od Mongoła. Dziwi ich niezmiernie, że te same dobrze znane im przedmioty inne mają w obcym języku nazwy.

Misjonarz o którym już wspominaliśmy, opowiadał zabawną anegdotę. Był niegdyś gościem starego wodza mongolskiego, imieniem Takura, który zauważył, że on coś pilnie zapisuje w swym podróżnym notesie. Takura pragnął bardzo nauczyć się mówić szarą, aby móc swą wiedzą imponować w aule; zwrócił się przeto z prośbą do cudzoziemca:

— „Skoro szarą pisać możesz wszystkiemi językami, naucz mię twej tajemniczej mowy. Pamięć mam dobrą, będziemy rozmawiali z sobą szarą."

I wydobył z za pasa nieodzowne przedmioty: nóż, fajkę, hubkę i krzesiwo, pytając się o nazwy ich w języku misjonarza, który wymieniał mu po kolei.

— „Zapamiętaj dobrze, bo jeśli kiedy udasz się do mego kraju, za morza zachodnie wszyscy cię tam zrozumieją.

— Ależ, to cudowne! — powtarzał rozentuzjazmowany poczciwiec."

A gdy następnie odwiedzał go jakiś Chińczyk, Mongoł lub cudzoziemiec, zamiast przyjętych grzeczności, drąc się na całe gardło, wołał po francusku: nóż! fajka! i t. d.

Goście byli olśnieni jego wiedzą.

W nocy, spoczywając obok misjonarza pod namiotem, budził go pytając:



Jeźdźcy nieruchomi jak posągi ze spiżu pilnowali stad.

— „Czy to hubka, a czy to nóż?

— „Tak, ale daj mi spać, noc nie jest stworzona do nauki.

— „Masz rację“ — odpowiadał mrucząc pod nosem przedziwne te nazwy.

Udał się raz na jakiś większy jarmark, a gdy po kilku dniach powrócił nie witając się i nie odpowiadając na pytania, głosem donośnym wymieniał po francusku następujące wyrazy.

— „Nóż, fajka moja, tytoń, krzesiwo! — Widzisz cudzoziemcze, że nie zapomniałem twej mowy; przez całą drogę powtarzałem te wyrazy.“

Prawdziwe to wydarzenie jest dowodem naiwności Mongołów, a także ich pragnienia wiedzy, aby wzbudzać podziw wśród otoczenia.

VII.

Ku chińskim granicom.

Gdy ludzie i zwierzęta wypoczęły w tym aule mongolskim, przewodnik dał sygnał odjazdu. Zwinięto namiot i ruszono w drogę, albowiem panowały męczące upały. Karawana posuwała się tylko do południa, reszta zaś dnia przeznaczona była na popas. Podróż odbywała się w największym spokoju. Czasem wśród stepów bezmiernych ukazywali się odosobnieni Mongołowie. Nadbiegali oni co koń wyskoczy, zarzucali podróżnych pytaniami i równie szybko niknęli w pustyni.

W końcu czerwca karawana przebyła większą część Gobi, ale nie wydostała się jeszcze ze strefy piaszczystej, poprzedzającej bezpośrednie żyżne równiny zwane: „Ziemią traw".

— Jakże nużąca jest ta nieskończona płaszczyzna, jak ocean zlewająca się z niebem — zauważył Ludwiś.

— Ale oto i las — zawołał Zuzia — ale co to za dziwaczne, suche rośliny!

— To las saksaulów — objaśnił p. Harrison — bezlistna ta drzewina chętnie rośnie na piaskach, a chociaż nie daje cienia, niezmiernie jest cenna dla plemion koczowniczych, wielbłądom dostarcza pożywienia, a ludziom — opału. Inne drzewa nie istnieją w tych stepach.

Podróżni niebawem ujrzeli woddali wielkie zbiegowisko stad niezliczonych.

— Co się tam dzieje? — niepokoiła się pani Derennes.

— Niech się pani nie obawia — odparł Anglik. — Zapewne znajduje się jeden ze stawów, będących właściwością pustyni Gobi. Dla nas to niespodziewana gratka, gdyż już zaczynało brakować wody.

— Patrzcie, jak pędzą nasze konie i wielbłądy — zauważył kupiec. — Poczciwe zwierzęta umierają z pragnienia i zdaleka czują wodę.

— Tu rozłożymy namiot — zawyrokował Ulan. — Będziemy mieli wody i drzewa poddostatkiem.

Karawana zatrzymała się wśród saksaulów. Mongołowie poprowadzili spragnione zwierzęta do wody. Ulan i Baturu rozpięli namiot, a Pao wzniecił wielkie ognisko i zabrał się do przyrządzania obiadu. Pani Derennes i dzieci udały się także do stawu, którego purpurowe wody mieniły się w słońcu.

Tu, oczom podróżnych, nawykłym do pustyni, przedstawił się widok zaiste cudowny. Wśród gęstych trzcin i zielonego kobierca trawy rozpościerało się małe jezioro, gdzie niegdzie z toni wód wynurzały się malownicze wysepki, nad któremi unosiło się różnobarwne ptactwo: cyranki, dzikie kaczki, łabędzie, ibisy, czaple.

— Jaka szkoda, że nie zabrałem strzelby — wołał Ludwiś. — Czy widzisz mamo tego złocistego bażanta? Jeszcze nie widziałem równie pięknego.

— Co za śliczne kózki, całe ich stadko przyszło tu ugasić pragnienie — mówiła Zuzia.

— To antylopy — odparła pani Derennes. — Łatwo je poznać po długich śpiczastych i w tył zakrzywionych rogach.

Nadszedł p. Derennes z Ulanem. Mongoł objaśnił, że jezioro to było częścią dawnego parku, w którym tylko cesarz miał prawo polować.

— Od upadku cesarstwa park ten został poniekąd opuszczony. Jelenie, kozy i ptactwo wszelakie stało się pastwą drapieżców, czyhających na nie bez przerwy. Zakaz polowania istnieje, ale nikt już nań nie zważa. Wkrótce urocza ta oaza stanie się pustynią.

— A szczury czy także należą do mieszkańców parku — spytał śmiejąc się Ludwiś. — Patrzcie, jaka ogromna płynie ich banda. Nie brak im tu widocznie pożywienia.

— Są to święte szczury — odrzekł Ulan. Powiadają, że niegdyś nieprzeliczone armje Hiung Nu (Hunów) dążąc z Mandżurji na podbój Chin, zalały ten kraj. Przeciw nim wyruszyło wojsko chińskie i mongolskie, ale na widok tych nieprzebranych szeregów strach ogarnął cesarza. Błagał przeto swych bogów o pomoc i złożył bogate ofiary. I oto we śnie ukazał się mu ogromny szczur i przemówił w te słowy:

— „Wzywałeś pomocy bogów, zesłali mię oni na twój ratunek. Ustaw swe hufce w szyku bojowym i jutro rano wydaj bitwę wrogom. Będziesz zwycięzcą!“

Nazajutrz cesarz rozkazał jeździe uderzyć na nieprzyjaciela. Hunowie, zaskoczeni nagłym ata-

kiem, rzucili się do broni i chcieli dosiąść wierzchowców, ale uzdzienice, pasy, cięciwy łuków, a nawet odzież żołnierzy stoczone były przez szczury. Nie mogąc się bronić, wódz poległ, a armja poddała się. Odtąd w tej miejscowości szczury otaczane są szacunkiem i opieką ludności, w której dobytku nie robią nigdy szkody, mając dostatecznie pożywienia".

Chociaż podanie to podobało się dzieciom niezmiernie, nie dowierzały jednak zbytnio gryzoniom.

— Nie życzę im nic złego — rzekła Zuzanna — ale nie chciałabym spotkać szczura w namiocie.

Kiedy p. Derennes z rodziną powrócił do namiotu, oznajmiono mu, że znajdują się już na skraju pustyni.

— Jutro — rzekł p. Harrison — ujrzymy pierwsze stałe domostwa chińskie. Tu już zresztą krajobraz zmienił się całkowicie: zielone równiny zastąpiły piaszczyste płaszczyzny, woda nie jest już rzadkością, a okolica jest bardziej zaludniona. Żegnaj, pustynio, żegnajcie rozpalone piaski!

Nazajutrz karawana weszła w tak zwaną przez Mongołów „Ziemię Traw". Auły były gęstsze i bogatsze. Okolica ta była lekko falista, a na południu widniało sine pasmo gór.

— Oto góry In-Chan — rzekł p. Harrison — za któremi leży miasto Kałgan i mur chiński.

Burgałtaj, gdzie o zmierzchu dotarła karawana, jest ostatnią osadą, położoną na ziemi mongolskiej. Wioska ta złożona jest z kilku drewnianych baraków oraz małej pagody chińskiej. Na granicy nasi wędrowcy pożegnali przewodnika Batura

CZYTELNIA „ŚWIT" ul. Dolnośląska 16 m. 38 1482

i wiernego Ulana powracających do północnej Mongolji oraz resztę Mongołów, którym po wypłaceniu należności darowali wielbłądy i konie.

Poczciwi ci ludzie, uradowani hojnością Europejczyków, bili przed nimi pokłony wołając: mendu, mendu! i życząc im szczęśliwej podróży.

Jedynie kucharz Pao towarzyszyć miał swemu państwu aż do portu Tien-tsinu.

Skończyła się podróż przez Mongolję. Znajomi nasi wynajęli wygodne powozy i resztę drogi odbyli przez kraj górzysty, gdzie wznosiły się hotele, odwiedzane przez turystów z całego świata. Wkrótce też stanęli w stolicy Chin.





„DLA WSZYSTKICH.“

Nowele, Podania, Legendy, Opowieści, Humoreski

Serja A: Pisarze Polscy

1. DOMAŃSKA, A. Złota przędza. Wydanie drugie —,45
2. — Kuglarz Matki Boskiej. Leg. Wyd drugie —,50
3. — Krzyż w Probołowicach. Leg. Wyd. drugie —,45
4. — Ave Maria. Legenda. Wydanie drugie . . —,45
5. — Czeladnik majstra Szymona. Legenda. Wydanie drugie . . . . . —,30
6. GLIŃSKI, K. Ostrzeżenica. Now. Wyd. drugie —,30
7. JESKE-CHOIŃSKI, T. Rycerz bandyta. Nowela. Wydanie drugie . . . . . —,40
8. — Trubadur w pułapce. Now Wyd. drugie —,45
9. JEZIERSKI, E O skarb Gwajkurów. Opowiadanie. Wyd. drugie . . . . . —,90
10. — Za wiarę i ojczyznę. Opow. Wydanie drugie —,40
11. TUCHOŁKOWA, St. Dziewica Orleańska. Powieść hist. Wydanie trzecie Z ilustr. . . —,90
12. JESKE-CHOIŃSKI T. Sąd Boży Wydanie drugie —,40
13. DOMAŃSKA, A. Królewska niedola. Powieść hist. Wydanie trzecie. Z ilustracjami . .
14. JAROSŁAWSKI, M Odwet Drzymały. Nowela.
15. — Szwabski niewolnik. Nowela. Wydanie drugie
16. — Patrol wigilijny. Nowela. . . . . (w druku)
17. DOMAŃSKA, M. Siostra Hanna. Wyd. drugie
18. — Żona ułana. Nowela. Wydanie drugie .
19. — Panienka ze dworu. Nowela Wydanie drugie
20. BAŁUCKI, M Latawica. Nowela. . . . —,35
21. — Za późno. Nowela. . . . . —,35
22. BOGDANOWICZ, E. Błękitna pantera. Z ilustr.
23. — Sępie gniazdo Opowiadanie. Z ilustracjami
24. GOMULICKI, W. Strach. Opowiad. żołnierskie —,20
25. — Syrena Opowiadanie . . . . . —,15
26. — Sołdat. Opowiadanie . . . . . —,55
27. — Zakazane. Opowiadanie . . . . . —,20
28. — Dlaczego mój znajomy nie mógł dotąd „pism“ swoich napisać. Humoreska . . —,20

29. JASIŃSKI, K. J. Dawni ludzie. Opowiadanie Z ilustracjami . . . . . —,50
30. STODOR-CEHAK, A. Czarna ściana Nowela. —,40
31. MORAWSKA, Z. Skarbiec Faraona. Opowieść egipska . . . . . —,40
32. ORWICZ, J. Gołębice. Szkic powieśc. . . —,50
33. — Cyrograf. Nowela . . . . . —,30
34. GLIŃSKI, K. Przeklęty ród. Nowela . . . —,60
35. — Ave! Nowela . . . . . —,50
36. CIEMBRONIEWICZ, J. Mistrz Twardowski. Opowiadanie. Z ilustracjami . . . . . —,75
37. WIERZBIŃSKI, M. Księżyna. Opowiadanie . —,20
38. SEWER Zielona latarka. Nowela. . . . —,50
39. JACKOWSKI, N M. Tumba. — „Ojcze nasz". Opowiadania z puszcz amerykańskich . . —,35
40. — Marja Antonina. Humoreska brazylijska —,40
41. GLIŃSKI, K. Wielki szlem. Wujaszek. Nowela —,25
42. KROPIWNICKA, C. Gewontowy hufiec. Opow.
43. SEWER. Mama sobie życzy. Nowela. . . 1,10
44. GLIŃSKI, K. Murłaj. Nowela. . . . . —,15
45. — Kowalowa góra. — Na widecie Nowele . —,25
46. WIERZBIŃSKI, M. Pięść Marcina Wilczka Now. —,25
47. SEWER. Łusia Burlak. Nowela. . . . . —,65
48. — Pierwszy utwór. Nowela . . . . . —,40
49. GLIŃSKI, K. Pan radca. — Filipek. Nowele . —,30
50. SEWER. Na pobojowisku Nowela —,90
51. GAWALEWICZ, M. Sprawa honorowa. Nowela —,60
52. — Jööl. Nowela. . . . . —,30
53. JAROSŁAWSKI, M. Walczące widma . . —,60
54. KRASZEWSKI, K. Skuteczne wody. — Pokolei Humoreski . . . . . —,40
55. SZELBURG-OSTROWSKA E. Legendy żołn. —,40
56. KRASZEWSKI, K. Wyprawa na żubry. — Plama. Humoreski . . . . . —,40
57. KRZYŻANOWSKI, A. Za winy niepopełnione. Nowela . . . . . —,60
58. KRASZEWSKI, K. Nehemi. — Reb Icek. Hum. —,30
59. DOMAŃSKA, A. Orlęta. 3 opowiadania . . —,60
60. ŻEGOTA, R. Czarne uroki. Opowieść współcz. —,70
61. KRASZEWSKI, K. Trzewiczek. Nowela . . —,80
62 RELIDZYŃSKI, J. Z dni krwi i chwały. Now. 1,30
63. KORWIN, J. Zemsta. Nowela . . . . . —,65

64. DOMAŃSKA. M. Dzwony — Śmierć Jana Chodora. 2 opowiadania . . . . . —,60
65. KRASZEWSKI, K. Białonóżka Pana majora. Now. —,90
66. SOKOŁOWSKA, Z. Zaklęty młyn. Opowiadanie historyczne . . . . . .
67. WIERZBIŃSKI, M. Virtuti militari i in. nowele.
68. SADOWSKA, A. Wiedźma. Nowela. . .
69. SZCZEPKOWSKI, J. Niebezpieczna podróż — Koleżanka Nowele . . . . . .

Serja B: Pisarze Obcy.

000. GUYON, K. Przygody młodego wyspiarza (bezpł.)
101. — Na dalekim Zachodzie . . . . . .
102. HELLIN P. Z Tajemnic Egiptu . . . .
103. DICKENS, K. Wytropiony . . . . . .
104. COLLINS, W. Żółty tygrys . . . .
105. GUYOŃ, K. W krainie Gris-Gris . . .
106. — Nad brzegami Gangesu . . . . . .
107. LINEL, K. Pierwsze pomysły wielk. wynalazcy
108. HELLO, E. Opowieści niezwykłe . .
109. GOBINEAU, A. Gamber-Ali . . . . .
110. GUYON, K. W kraju djamentów . . . .
111. SKARBY OLBRZYMA. Baśnie angielskie .
112. FARNEY, M. Wśród stepów i pustyń Mongolji.

Dalsze zeszyty zarówno Serji A. jak i Serji B. ukazywać się będą perjodycznie co pare miesięcy.

UWAGA! **UWAGA!**

Wkrótce wyjdzie książka

p. t.

LÎLÂVATÎ

zawierająca mnóstwo najciekawszych

ROZRYWEK MATEMATYCZNYCH

induskich, arabskich, chińskich, starogreckich, średniowiecznych i nowoczesnych.

OGROMNY WYBÓR KSIĄŻEK
DLA MŁODZIEŻY

Najulubieńszych Autorów Polskich i Obcych.

Bogdanowicz, Czeska, Domańska, Dyakowski, Margert, Korsak, Rosinkiewicz.

Cooper, Finn, Marriat, Verne, Wells.

Żądajcie do przejrzenia!

W Poznaniu:

w Księgarni św. Wojciecha

Plac Wolności 1.

W Warszawie:

w Księgarni M. Szczepkowskiego

Al. Jerozolimska 39.

W Wilnie:

w Księgarni św. Wojciecha

Ul. Dominikańska 4.

W Krakowie:

w Księgarni Krakowskiej

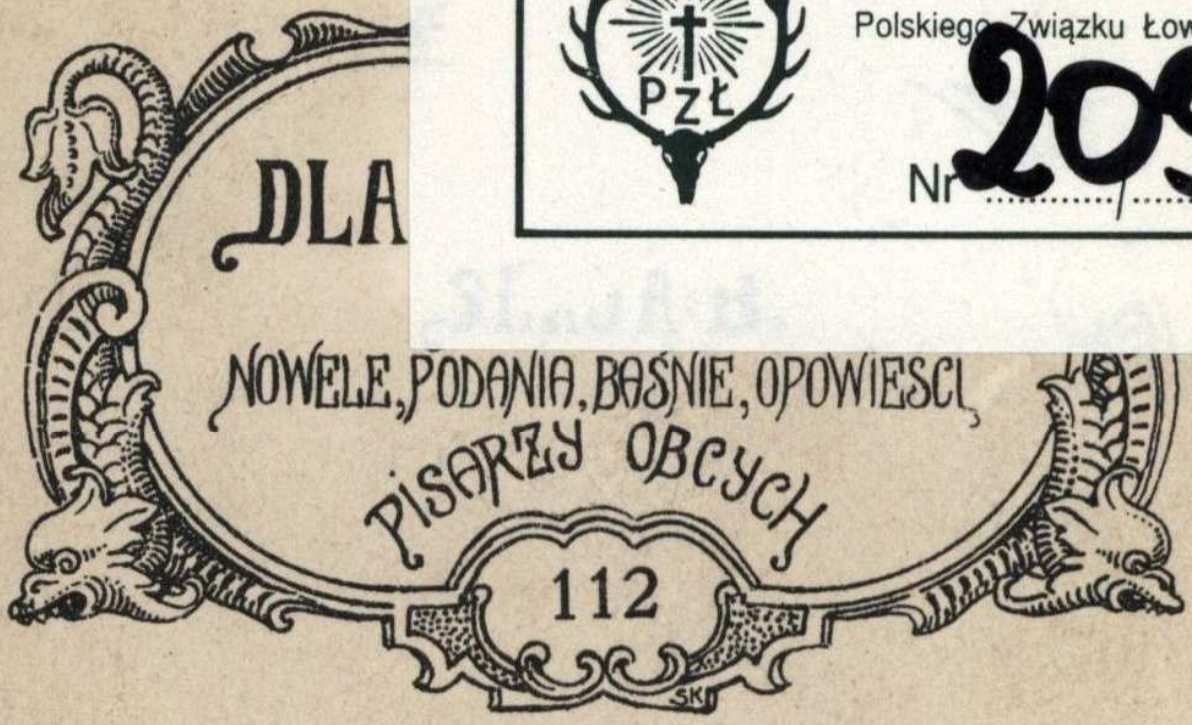
Ul. św. Tomasza 35.

W Lublinie:

w Księgarni św. Wojciecha

Krakowskie Przedm. 43.

BIBLIOTEKA
Polskiego Związku Łowieckiego
Nr 2098



OD WYDAWNICTWA

Zachęceni bardzo pochlebnemi opinjami prasy o naszym zbiorku „DLA WSZYSTKICH“ oraz wielkiem a trwałem powodzeniem, jakiem cieszą się te książeczki we wszystkich dzielnicach Polski i we wszystkich sferach społecznych, postanowiliśmy obok **Serji A**, składającej się z prac wyłącznie pisarzy polskich, zapoczątkować **Serję B**, w której umieszczać będziemy nowele, podania, humoreski, baśnie i opowieści pisarzy obcych.

Będzie to również lektura rzeczywiście dla wszystkich, barwna, żywa, zaciekawiająca. Znajdą się wśród zbiorku tego tomiki przeznaczone bardziej dla młodzieży, inne odpowiedniejsze dla czytelników dojrzałych, ale nie będzie takiego dziełka, któregoby nie mógł przeczytać młodzieniec lub dorastająca panienka, ani też takiego, któreby nie mogło zainteresować osoby dorosłej.

Mamy niepłonną nadzieję, iż przyjaciele pierwszej serji DLA WSZYSTKICH swą życzliwość i poparcie chętnie rozciągną też na to nowe odgałęzienie ulubionego wydawnictwa, które szybko wzrastać będzie.

KSIĘGARNIA ŚW. WOJCIECHA.